

Wakacje z mułłami – cz. 9

5 stycznia 2008

W jednym końcu wznosi się przeogromny Meczet Imama (dawniej Królewski), arcydzieło architektury perskiej, wspaniały kompleks budowli z XVI w. Do środka prowadzi wielka brama z wysokimi minaretami po obu stronach. Wchodzi się przez nią na rozległy dziedziniec, z dużą prostokątną sadzawką pośrodku. Na dziedziniec otwierają się trzy ogromne „liwany”. Ten na wprost od bramy prowadzi do głównej sali modlitewnej, pod wspaniałą kopułą. Dzięki fantastycznej aukustyce słowa kazania wygłaszanego pod kopułą było słychać w całym kompleksie, bez pomocy mikrofonów i głośników. Poza głównym dziedzińcem są tam jeszcze dwa pomniejsze, obsadzone ozdobnymi drzewami i otoczone niskimi arkadami. Mieściły się w nich dawniej szkoły religijne. Wszystkie budowle obłożone są przepięknymi glazurowanymi kafelkami ozdobionymi arabeskowymi wzorami, fantazyjną roślinnością i bajkowymi stworami. Cały ten kompleks może pomieścić 10 tysięcy ludzi.

W połowie dłuższego boku rynku jest Ali Qapu, jedyna pozostałość po wielkim pałacu Szacha Abbasa, prawie doszczętnie zburzonego przez Afganów w XVIII w. Jest to wysoka trzypiętrowa budowla, z loggią na 1 piętrze, gdzie wysmukłe, rzeźbione drewniane kolumny podtrzymują również rzeźbiony i misternie malowany sufit. Pomędzy nimi znajduje się zagłębiony w podłodze obity blachą basen, pozostałość fontanny. Z tego tarasu Szachowie przyglądali się meczom polo i wyścigom konnym, a także przyjmowali hołdy i poselstwa. Na wyższych piętrach są niewielkie komnaty z freskami na ścianach i pomieszczeniami dla muzyków, którzy umilali czas Szachowi.

Naprzeciw Ali Qapu, po drugiej stronie rynku, stoi niewielki, ale piękny Meczet Szejka Loftollaha, teścia Szacha Abbasa. Doskonałe proporcje budynku i kopuły oraz cudowne glazurowane kafelki, którymi pokryty jest z zewnątrz i od środka czynią z niego prawdziwą perełkę architektury islamskiej.

Reszta placu otoczona jest jednopiętrowymi budynkami z osłoniętymi przed słońcem płociennymi markizami sklepami i arkadami na parterze. W arkadach znajdują się sklepy i warsztaty najbardziej renomowanych rzemieślników i artystów, z dywanami, metaloplastyką, wyrobami ze złota i srebra i galerie obrazów. Na zapleczach mieszczą się warsztaty, gdzie się te wszystkie cudeńka produkuje, a najpiękniejsze i najbardziej przyciągające oko wyroby wystawia się częściowo na zewnątrz, częściowo za szkłem na wystawie.

A jest na co popatrzeć! Brak nam słów i terminologii, żeby to wszystko opisać. Naczynia z miedzi, srebra czy żelaza inkrustowane złotem i srebrem w misterne arabeski, lub młotkowane we wzory, rzeźbione i zdobione emalią komórkową lampy i misy.

Obrazy, w stylu tradycyjnym i współczesnym. W innych sklepach wspaniałe perskie dywany najwyższej klasy. Jeszcze gdzie indziej biżuteria i wyroby złotnicze, głównie misterne filigrany. Wszędzie sprzedawcy zapraszają uprzejmie do środka i zachwalają swe towary, ale nie nachalnie, jak na Dalekim Wschodzie, tylko z dyskretną uprzejmością.

Środek placu zajmują fontanny, promenady i aleje ze stylizowanymi latarniami, oraz doskonale utrzymane trawniki z kompozycjami kwiatowymi, wokół których bez przerwy krzątają się ogrodnicy przyszykując trawę i żywopłoty i podlewając kwiaty.

Są tam również i konne dorożki dla amatorów przejażdżki wokół placu. Podobnie jak krakowski rynek, Plac Chomeiniego jest miejscem spotkań i przechadzek, tętniącym życiem, zwłaszcza po zmroku, kiedy fontanny i kopuły meczetów są iluminowane.

Spędziliśmy tam pół dnia, zwiedziliśmy meczety i Ali Qapu, posiedzieliśmy na ławkach koło fontanny, obserwując miejscowych i turystów i zajrzeliśmy do sklepów i warsztatów.

Za reprezentacyjnymi sklepami rozciąga się isfahański bazar,

jak przystało na byłą stolicę imperium największy chyba w Iranie, pełen wąskich uliczek, arkad i zakamarków, gdzie można kupić absolutnie wszystko, odzież, zabawki, antyki, przyprawy, tkaniny, artykuły spożywcze, odzież i obuwie. Nad głównym wejściem można zobaczyć XVI wieczne freski, pokazujące między innymi gości z Zachodu, którzy byli widać tak egzotyczni dla miejscowych, że zostali w ten sposób uwiecznieni. Pełno w tym labiryncie kontrastów. Wspaniale zaprojektowane i oświetlone w naturalny sposób 400-letnie sklepienie pasaż obok krytych zardzewiałą blachą falistą zaułków. Z misternymi wyrobami rękodzielniczymi sąsiaduje często jarmarczna plastikowa taniocha z Chin, czy Indii. Postanowiliśmy zrobić trochę slajdów tutejszych wyrobów metalowych, bo są to istne cuda, niemożliwe do opisanie i do wyobrażenia dla tych którzy tego nie widzieli. Każdą sztukę podziwialiśmy z otwartymi ustami, bo dla nas, wychowanych na tanich, zachodnich rzeczach są to cuda z tysiąca i jednej nocy.

Gdy zatrzymaliśmy się przed sklepem z dywanami właściciel zaprosił nas do środka i poczęstował pyszną herbatą. Powiedzieliśmy mu z góry, że nie możemy nic kupić, mimo że jesteśmy zachwyceni perskimi dywanami. Nie zniechęciło go to wcale i zrobił nam bardzo interesujący wykład, ilustrując go przykładami ze sklepu.

Nie bardzo możemy pojąć, jak to tutaj jest. Bo przecież Iran to niby biedny kraj, a przy tym wszystkim mają wyroby tak doskonałej jakości i niczego nie brakuje. W ulicach odchodzących od placu i w zaułkach bazaru można kupić absolutnie wszystko i (przynajmniej dla nas) bardzo tanio. Podziwiamy setki sklepów z butami. Piękne, nowoczesne fasony, dobre wykonanie a co najważniejsze, rozmiary nie na jakieś liliputki o kształtach Barbie, ale na normalne kobiety z normalnymi stopami.

W Isfahanie jest dzielnica armeńska Dżolf, którą Krzysiek koniecznie chce zwiedzić. Dzisiaj jest piątek, czyli odpowiednik naszej niedzieli. Całe miasto dziwnie wyludnione,

więc postanawiamy zrobić sobie wycieczkę w tamte strony. Na mapie nie wygląda to daleko, a ranek przepiękny. Niedaleko okazało się jednak kawałem drogi, tak że szliśmy prawie półtorej godziny szerokim zielonym bulwarem, co jakiś czas siadając dla odpoczynku na ławkach. Na miejscu okazało się, że dzielnica jest jedną wielką budową w trakcie modernizacji. W niewielkiej enklawie tradycyjnej zabudowy stoją aż trzy kościoły obrządku ormiańskiego, z których tylko jeden – katedra – jest otwarty. Wstęp do niej i do sąsiadującego z nią muzeum kosztował aż trzy banknoty Chomeiniego. Po tych wszystkich cudach jakimi są irańskie meczety, wystrój kościoła wydał nam się biedny i skromny, mimo że to bardzo interesujący zabytek. Ściany wykładane są na dole kafelkami z motywami perskimi, a nad nimi są freski przedstawiające sceny z życia Jezusa i świętych wymalowane w stylu perskim. Dziwna mieszanka. Muzeum okazało się skromne, jakieś manuskrypty, trochę sakralnych przedmiotów, reszta misz-masz.

Popołudnie postanowiliśmy spędzić na nabrzeżu Zajandeh. Jest to spora rzeka szeroka na około sto metrów, która przecina miasto by następnie zginąć bez śladu gdzieś daleko w piaskach pustyni. Bulwary to jeden rozległy park, gdzie 3 pokolenia irańskich rodzin spędzają wolny czas, piknikując na rozłożonych na zieleńcach dywanach. Dzieci grają w piłkę, gonią się i jeżdżą na rowerach, a dorośli piją herbatę, jedzą, plotkują i palą fajki wodne – qualjany. W rzece zainstalowanych jest kilka fontann, tryskających strumieniem wody na dziesiątki metrów w górę. Przy nabrzeżach można wynająć zabawne małe rowerki wodne w kształcie różnokolorowych łabędzi, cieszące się wielkim powodzeniem wśród miejscowych.

Ścieżki na bulwarach ciągną się kilometrami i wyłożone są nieregularnymi kawałkami różnobarwnych marmurów i alabastrów. Chodziliśmy po nich przez godzinę, wyszukując co ciekawsze kawałki i podziwiając kolory. Przez rzekę przerzucone jest kilka mostów. Trzy historyczne, zamknięte dla ruchu kołowego, najstarszy z XII w, a najnowszy z XVII, są arcydziełami

perskiej inżynierii. Podobnie jak średniowieczne mosty europejskie były nie tylko przejściem przez rzekę, ale również arkadami handlowymi, trochę jak Rialto w Wenecji, i punktami widokowymi. Na najpiękniejszym moście, Khadżu, zachowały się pięknie zdobione loggie, gdzie w dawnych czasach szachowie spędzali upalne wieczory w otoczeniu dworzan, tancerek i muzyków, podziwiając w chłodzie widok na rzekę o zachodzie słońca.

W Iranie nie ma dyskotek, klubów nocnych i barów, są za to herbaciarnie, bardzo często mieszczące się w historycznych budynkach i pięknie urządzone i udekorowane antykami, starą bronią i rozmaitymi bibelotami. Zgodnie z miejscową tradycją, większość gości siedzi, a często półlerzy na parometrowych platformach z oparciem z trzech stron, wysłanych dywanami i poduszkami. Przed wejściem na platformę należy obowiązkowo zdjąć buty. Dobry obyczaj wymaga by podkulić pod siebie nogi, żeby stopy nie sterczały w stronę innych gości, lub siedzieć po turecku.

Najprzyjemniejsza herbaciarnia którą widzieliśmy w Iranie była właśnie w Isfahanie. Mieści się wewnątrz ogromnego filaru jednego z historycznych mostów, Czabi, i jest obwieszona setkami starych lamp naftowych, we wszystkich możliwych kształtach i odmianach. Na ławach i platformach i we wnękach okiennych siedzą ludzie, piją przepyszną herbatę, pogryzają doskonałe herbatniczki maślane, ssą cienkie jak papier karmelki i palą fajki wodne. Najlepsze miejsca są w wysłanych dywanami i poduszkami niszach okiennych, gdzie przez otwarte w pogodne dni okna wieje chłodna bryza od szemrzącej tuż obok wody.

W porównaniu z Szirazem, Kermanem i Yazem Isfahan jest o wiele bardziej nowoczesny i „zachodni”. Ludzie są tu mniej tradycyjnie ubrani, nie ma aż tyle kobiet w czadorach, i o wiele bardziej otwarci i przyjaźni. Coraz to ktoś zagaduje i zaczynając od tradycyjnego: „Where are you from? Skąd jesteście?” Kończąc nieodmiennym: „Welcome! Welcome!”

Witajcie!

Dziesiątki ludzi, głównie młodych, dochodzi do nas na ulicy i rozpoczyna rozmowę łamanym angielskim. Wszyscy marzą o wyjeździe na Zachód. Pytają jak się tam żyje, jak wygląda Australia. Ta powszechna ciekawość wywodzi się chyba stąd, że jest to tak zamknięty kraj w którym turyści zachodni, zwłaszcza indywidualni są rzadkością. Gościnność i serdeczność Irańczyków jest zupełnie niewyobrażalna dla człowieka Zachodu, a czasem wręcz żenująca. Wciąż nas ktoś zaprasza do dołączenia się do pikniku, albo czymś częstuje, zwykłymi codziennymi rzeczami, które ludzie akurat mają przy sobie. Bardzo wzruszył mnie jakiś starszy pan, który niósł do domu dwa placki chleba. Podszedł do nas i koniecznie chciał nam jeden z nich ofiarować. Kiedy wracaliśmy dziś do hotelu przez park, siedząca na trawie rodzina zaprosiła nas do siebie. Akurat jedli lunch i tak serdecznie nas zapraszali, że nie wypadało odmówić. Nie mówili ani słowa w żadnym innym języku niż Farsi, ale kobieta od razu zrobiła dla nas kanapki z kiełbasą, chyba baranią i nalała nam dwa kubki soku pomarańczowego. Trochę na migi, a trochę przy pomocy rozmówek perskich udało nam się z nimi porozmawiać. Byli w wieku około trzydziestu lat z dwójką małych dzieci. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie, podziękowaliśmy za poczęstunek i wzięliśmy ich adres, żeby wysłać im zdjęcie. Nie mogliśmy go przeczytać, bo napisany był arabskimi literami, ale najwyżej się go wytnie i przyklei na kopertę.

Dzisiaj jest nasz czwarty dzień pobytu w Isfahan i dla odmiany pogoda zupełnie się zepsuła. Jest pochmurno i zimno. W hotelu grzeją kaloryfery. Rano ku naszemu zdziwieniu znów powitały nas zupełnie puste ulice. Wszystko pozamykane. Okazuje się że dzisiaj jest jakieś wielkie święto religijne, bo w telewizji na wszystkich kanałach tylko non stop modły i religijne tematy. Pokazują pochody biczowników, którzy łańcuchami smagają się po gołych plecach do krwi. W meczetach tłumy mężczyzn różnego wieku biją rzędami pokłony. Wielu z nich

otwarcie płacze. W naszej dzielnicy nic się nie dzieje, a zapytać nie ma kogo co to wszystko znaczy, ale to jest zdaje się tradycyjny 40 dzień żałoby od rocznicy śmierci 3-go Imama, Husejna, prawnuka proroka Mahometa, w „bitwie” pod Karbala w Iraku. Biczowanie jest pokutą wyznawców szyickiej odmiany Islamu, za nie stanięcie w jego obronie. Popętaliśmy się co nieco po pustych ulicach, posiedzieliśmy w herbaciarni mostowej, a potem poszliśmy się przejść nad rzeką, gdzie było nieco cieplej. Tam od razu obiegła nas jakaś młoda rodzina, próbując dowiedzieć się skąd jesteśmy. Niestety mówili tylko pare słów po angielsku, ale stali przy nas z pół godziny. W efekcie trochę na migi, trochę z pomocą rozmówek, a trochę każdy w swoim języku coś tam próbował tłumaczyć, niewiele rozumiejąc o co chodzi drugiej stronie. Dziwne i trudne są te rozmowy, ale to ciekawe doświadczenie.

Pod wieczór miasto jak zwykle wyległo na ulice i znów niemożliwe jest przejście przez jezdnię. Pieszy w tym kraju nie ma żadnych praw. Chodniki i zebry są niemalże tak niebezpieczne jak jezdnie. Na drogach królują niepodzielnie pędzące auta które nie przestrzegają absolutnie żadnych reguł, w dodatku duży procent z nich jeździ bez świateł. Znowu ryzykujemy zdrowiem i życiem przechodząc przez ulicę.

Niestety młodzi ludzie w Iranie nie bardzo mają co ze sobą robić w wolnym czasie, jako że rozrywki typu zachodniego tutaj nie istnieją. Nie ma dyskotek ani klubów a przecież młodzież tutejsza ma takie same potrzeby i pragnienia jak gdzie indziej. Tymczasem wszelkie kontakty z płcią przeciwną poza nadzorem rodziny są teoretycznie nielegalne. Młodzi chłopcy włóczą się więc całymi bandami po zmroku, zaczepiając przechodniów a zwłaszcza grupki dziewcząt. Nie mogą się z dziewczętami mieszać, ani razem chodzić więc tylko sobie przygadują. Chłopaki oczywiście szpanują i popisują się wyczynami na swoich motorkach. W ostatnią naszą noc w Isfahanie cała paczka takich młodziaków przyszła do naszego hotelu w odwiedziny do swojego znajomego, chyba syna

właścicieli, który akurat miał dyżur w recepcji. Ganiecie po schodach, wrzaski, śmiechy i piski trwały do drugiej w nocy. Oczywiście o spaniu nie było mowy, a nas czekała dalsza podróż, z Isfahan do Ahwaz. By zaoszczędzić na czasie postanowiliśmy lecieć tam samolotem, to aż 900km, a bilet kosztuje grosze, tylko 30 dolarów od osoby. Na szczęście samolot mieliśmy dopiero wieczorem i można było dłużej pospać.

Koniec części dziewiątej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)